

"CZY STANIESZ OKO W OKO ZE SWOIM STRACHEM?"

UPIORAK



IZABELA BUCKA



Copyright © Izabela Bucka

Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski, Kraków 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Sandra Jabłońska-Hegmit

Skład i łamanie:

Anna Szarko

Projekt okładki:

Patrycja Kubas

Zdjęcia na okładce:

Autor: photocosma

Źródło: <https://www.depositphotos.com>

Autor: anatolik1986

Źródło: <https://www.depositphotos.com>

Dystrybucja:

OSDW Azymut Sp. z o. o.

ul. Gottlieba Daimlera 2, 02-460 Warszawa

Wydawnictwo:

Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

ul. Józefa Brodowicza 2/2, 31-518 Kraków

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

ul. Józefa Kostrzewskiego 17, 30-437 Kraków

www.wydawnictwo-feniks.pl

Redaktor Naczelny:

Anna Fiałkowska-Niewiadomska

e-mail: redaktor.naczelnny@wydawnictwo-feniks.pl

Promocja i marketing:

e-mail: marketing@wydawnictwo-feniks.pl

Numer ISBN 978 83 67141 38 3

Wychodzi nagle, niespodziewanie. Niemo objawia się światu. Po cichu. Prawie przezroczyście. Nie wiadomo kiedy ani skąd. Wygrzebuje się z jakiejś nory, czarnej dziury, ukrytej wśród zbutwiałych liści jamy. Z niczego. Nagle mu za ciasno, za nudno. Za czarno. Wraca mu świadomość. Zapala się lampka i błyska tuż nad jego oczami.

Budzi się i czuje głód.

Wtedy opuszcza swój barłóg. Szwenda się i błąka. Nogi mu się plączą. Łazi bez składu i ładu. Bezrefleksyjnie. Bezmyślnie. Nie, nie bezmyślnie. Instynktownie. Węszy i szuka. Nie wie czego, ale coś go popycha, podpowiada mu. Szepcze do ucha, do mózgu, do niego. Jakies ono. Widmo.

Kiedy on się odwraca, widmo szybko znika. Ucieka na wiele metrów, kilka, kilkadziesiąt, może kilkaset. Ale jest w pobliżu. Spokojnie oddycha, choć nie mrugnie nawet powieką, nie spuszcza go z oka. Trzyma na niewidzialnej smyczy, na muszce. Przez mały otwór śledzi jego ruchy, zamysły. Wie, że on nie ucieknie, zawsze będzie można go znaleźć. Jest napromieniowany dziwną energią, która wprawia całe ciało, wszystkie jego komórki w ruch, w nieustające drżenie, namolne napięcie. Nie zobaczysz jej gołym okiem, ale poczujesz, jak dociera do ciebie i razi prądem. Jak niewidzialną falą uderzeniową, lodowym podmuchem. Ta energia sprawia, że ciało pokrywa gęsia skórka. Jeż się struchlałe włoski. Na baczność. Alarm.

On nie widzi tej smyczy, która co chwila pociąga go lekko za szyję i kieruje jego ruchami. Podciąga do góry ręce i nogi, jak na sznurkach, odwraca mechanicznie głowę. On poddaje się, a smycz zaciska się na jego krtani.

Lampka mruga nad głową. Zaraz zgaśnie. Pogrąży go w mroku. W przyczajeniu. Tylko w ciemności zdoła wypatrzeć cel. Tylko tu widzi ostro, wie, czego chce. Czego potrzebuje. Dokąd zmierza.

Sznur poluzowany. Ta złudna wolność może otumanić. Zawrócić w głowie. Widmo mu podpowie, szepnie do ucha. Iść przed siebie, gdzie poniesie chęć, pragnienie.

On nasłuchuje...

Październik

I

Dworzec kolejowy oświetlony był jak teatralna scena. Światła rampy wydobywały z wieczornego mroku każdą jego część, każdy rekwizyt. Ale perony były puste. Na wielkiej scenie nie było jednak żadnego aktora. Jedynie wielki napis nad kurtyną stał wciąż w gotowości – *Szumilaski*. Będzie tak czekał do końca, aż zasuną się kotary.

Z boku sceny, przy schodach prowadzących na perony, przycupnęła jednak grupka bywalców tego teatru. Zapalonych teatromanów. Rozparli się na stopniach schodów i przy powyginanym stojaku na rowery.

– Zuza, musisz jej, kurwa, powiedzieć, żeby się od ciebie odczepiła.

Chłopak w skórzanej kurtce spojrzał na dziewczynę. Całą lewą stronę głowy miał ogoloną na łyso. Opierał się o motocykl, a słowa wydobywały się z ust razem z kłębam dymu. Upił łyk piwa, by dać jej chwilę do namysłu.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Łatwo ci powiedzieć – odpowiedziała dziewczyna z włosami zamotanymi na czubku głowy w coś na kształt koczka owiniętego niebieską frotką.

– Musisz poszukać czegoś innego. Czegoś lepszego.

Zaciągnął się znowu i wyciągnął rękę, by poczęstować ją resztką papierosa, ale nie skusiła się. Skupiała się na kopaniu dołka w ziemi czubkiem białego sneakersa, który nie był już taki biały.

– Może zaczniesz od chłopaka! – Roześmiał się blondyn, który siedział na pierwszym stopniu schodów, ale uciął pod spojrzeniem kolegi. – Czacha, przestań pieprzyć. Każdy czegoś szuka, czegoś lepszego.

– Ta. Kondziu, ty akurat czegoś szukasz? – odszczeknął mu Czacha.

– Ja?

– Dajcie spokój. – Przerwała im cicho Zuza.

Oderwała wzrok od wykopanej w ziemi jamki i podniosła głowę.

W oddali mrugnęły ostre światła. Bystre ślepie zbliżały się w ich kierunku. Szum pojawił się znikąd i narastał, a kiedy pociąg wjechał na perony, gwizdnął im beczelnie, prosto do ucha. Nic mu nie zrobią.

Z rozświetlonych przedziałów wyglądały twarze. Kiwały się rytmicznie. Szukały czegoś w otaczającej zewsząd czerni, w którą wstępowali. Ale nie widzieli grupki młodzieży, która przyglądała się uciekającym w dal twarzom.

Pociąg przemknął przez scenę, jak wiatr. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Nie zatrzymał się.

– Nie, intercity.

Oni nigdzie się nie wybierali. Ten świat, co odjeżdżał w dal, co migał im przed oczami, był ulotny. Odrywał ich uwagę jedynie na chwilę. Przemykał jak myśl. Mrugniesz i go nie ma. Znika.

Ale jednak coś zostaje pod powiekami. Jakiś podprogowy przekaz.

– Ktoś przyniósł butelkę? – Padło pytanie. – Mówilem, żeby ktoś przyniósł. Ja nie będę wiecznie wam stawiał. Może jednak ktoś się rzuci?

– Może Miszel przyniósł?!

– O, Miszel! Chłopie! Lepiej późno niż wcale! Masz flaszkę?

Miszel poklepał się po kurtce, by udowodnić, że niczego pod nią nie ukrywa.

– Szkoda. Kurwa, takiś kolega...

– Sorry. Excusez-moi. – Miszel chyba nie czuł skruchy. – Nie klnij.

Usiadł na schodach, dwa stopnie wyżej niż Kondziu.

– Zimno – syknął w ucho koledze.

– Zimno, cimno i daleko do domu! – krzyknął Czacha.

– Dlatego potrzebne coś na rozgrzewkę, bo to co było, to za mało. Zima idzie.

– Idzie – przytaknął Miszel. – Sąsiedzi się już wyprowadzili. Zakręcili wodę, odłączyli prąd. Zostawili skuter.

– A zostawili wam klucze? – zapytała Zuza.

– Tak. – Uśmiechnął się do niej Miszel. – Mam podlewać kwiatki.

– Uuuu!!! – rozległo się wycie. – To masz wolną chatę! Magda przyjeżdża?

– Do ciebie nie przyjedzie. Możesz jej pomachać z daleka. – Miszel zareagował szybko.

Grupa wybuchnęła śmiechem.

– Na mojej ulicy prawie wszyscy letnicy już pozamykali domy – dodał blondyn na schodach.

– Ale kluczy nie dostałeś?

– Nie.

– Uuuu, jak mi przykro, Kondziu – zjadliwie dodała Zuza. – Nikt ci nie ufa.

– Nikt mi nie ufa – przytaknął jej smutno.

– Ja ci ufam. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Ufasz mi? – zapytał zdziwiony.

– O, proszę państwa, ja tu jestem! – Czacha wstał ze schodów. – Jeszcze tu, kurwa, jestem.

Poszedł do dziewczyny i objął ją ramionami. Dłonie osunął na jej biodra, może trochę niżej i zatrzymał je w tym miejscu. Miszel dyskretnie odwrócił głowę.

– Zuza, ty zastanów się jednak, komu ufasz. – Jedyne Kondziu bezwstydnie na nich patrzył. – Czacha to, wiesz... Ja bym mu nie wierzył.

– Zamknij się – syknął Czacha, ale nie odkleił się od dziewczyny.

– Zaraz powinien być do Będowa. Podmiejski – odezwał się Miszel.

– O szóstej pięć.

– Nikogo nie ma. – Miszel rozejrzał się po peronach. – Nikt nie odjeżdża.

– Szósta, a już ciemno. – Kondziu spojrzał na zegarek.

– Dalej będzie już tylko gorzej. Tylko ciemniej. Polarna noc.

– Kondziu, ty naprawdę musisz się dzisiaj napić. Pojedziesz po flaszkę.

– Pojadę – zgodził się.

– A ja idę siku.

Zuza wyswobodziła się z uścisku swojego chłopaka.

– Gdzie? W krzaki? – Miszel szybko wstał ze schodów. – Tam jest ciemno.

– W krzaki. A gdzie mam iść? Pod latarnię? Nie mogę już wytrzymać. To przez to piwsko.

Odbiegła w stronę krzaków przylegających do ostatniego przed dworcem domu.

– Nie idź daleko – krzyknął za nią Miszel.

– Przypadkiem mnie nie podglądajcie! – Nie odwróciła się w ich stronę, tylko zniknęła w ciemności.

– Słyszysz Miszel, nie podglądaj. – Zaśmiał się Czacha.

– Jakby cię co napadło, to krzycz! – dorzucił jeszcze Kondziu. – Poświecimy ci latarką!

– Nie bądź taki, kurwa, dowcipny – syknął do niego Czacha.

– Żartuję. A ty co? – Kondziu spojrzał na niego hardo.

– Taki rycerz się z ciebie zrobił?

Czacha podszedł do niego. Patrzyli sobie teraz prosto w oczy. Jeszcze chwila...

– Zuza ma komórkę? – Miszel wepchnął się między nich.

Odstąpili od siebie. Miszel wciąż stał między nimi, ale spojrzał znowu w kierunku krzaków.

– Ma? – powtórzył.

– No co ty. Pewno, że ma.

– To dobrze.

Przedłużając się ciszę przerwał niespodziewany głos z offu. Ryknął nad uszami, aż podnieśli głowy do góry w kierunku jego źródła.

– Pociąg osobowy do Będowa odjedzie z toru drugiego przy peronie drugim!

– Co to tak ryczy, skoro nikogo to, kurwa, nie obchodzi? – Czacha był wyraźnie rozdrażniony.

– Nikogo – przytaknął cicho Miszel.

Na peronie nikt nie czekał na nadjeżdżający powoli pociąg. Potoczył się jeszcze parę metrów i z ostrym piskiem zahamował.

– Macie coś lepszego? – Kondziu nachylił się w stronę kolegi w skórzanej kurtce.

– Macie – odparł Czacha i poklepał się po kieszeni. –
Od Pauli.

– Macie, to dajcie.

– Na później.

– A dlaczego Paula nie przyszła?

– Nie wiem.

Pociąg stał przez chwilę. Mały odpoczynek w wędrownie i zaraz ruszy dalej. Nie otworzyły się żadne drzwi i nie wyszedł z nich żaden pasażer.

– Ty też chcesz, Miszel? – Chłopak usłyszał pytanie.

– Tak. – Miszel przytaknął i już miał zejść ze schodów, ale zatrzymał się.

Na samym końcu pociągu otworzyły się drzwi. Wyszedł z nich człowiek i szybko skierował się w przeciwną stronę niż schody wyjściowe. Może to był człowiek, a może duch, bo w sekundę zniknął. Wyszedł ze światła lampy i wkroczył za kulisy, w ciemność. Za grubą kurtynę. Miszel wpatrywał się w to miejsce, ale ani człowiek, ani duch nie powrócił stamtąd.

Pociąg odjechał bezszelestnie.

– Gdzie jest Zuza? Wróciła już?! – krzyknął do kumpli.

Odwrócili się w jego kierunku.

– Daj jej się wysikać! Coś ty, kurwa, taki nerwowy?! –
Czacha wzruszył ramionami.

– Zabrała ci skręty z kieszeni.

Czacha odchylił połę swojej kurtki.

- O, cholera...! – spojrzał zdziwiony. – Zdolna bestia.
- Trzeba było jej nie obłapiać. – Zaśmiał się Kondziu.
- Idziemy po nią. – Miszel zszedł ze schodów.
- Co ty?! – Skrzywił się Czacha.
- Idziemy!
- Nic się jej nie stanie!
- Idziemy! – Miszel odepchnął Czachę chwiejącego się na nogach.

Czacha z trudnością utrzymywał równowagę. Ledwo dogonił kolegów.

Przy krzakach, gdzie weszła Zuza, włączyli latarki komórek, ale dziewczyny tam nie było. Dalej były już tylko gęste żywopłoty domów, a potem rozorane pole.

- Zuza, jesteś tu?! Odezwij się! – krzyknął Miszel.

Nikt nie odpowiadał.

- Zuza! – wrzasnął Kondziu.

- Zuza! Gdzie polazłaś?! Wyłaż natychmiast!

Przed drzwiami najbliższego domu zapaliło się światło, ale nikt nawet nie wyjrzał.

- Gdzie ona jest? – sapał Czacha.

- Tam! – Miszel pobiegł dalej. – Tam ktoś jest.

Pobiegł ku gęstym krzakom, które nachylały się nad rowem ciągnącym się wzdłuż drogi. Kiedy podbiegli, z rowu dobiegł dziewczęcy śmiech. Zuza leżała w dole i rechotała rozbawiona.

- Uuuuu!

Leżała z głową w trawie, a w palcach trzymała papierosa, który wykradła.

– Jak tu się znalazłaś?! – rzucił Czacha.

– Uuuu! – Dziewczyna była wciąż ubawiona.

– Wstawaj! Wypaliłaś, kurwa, całego?

– Zuza! Zuza! – przedrzeźniała ich ze śmiechem.

– Myślisz, że to jest zabawne?! – rzucił w jej kierunku

Miszel.

Najwyraźniej uważała, że tak.

– Uuuu! Zuza! Zuza! Gdzie jesteś?! Odezwij się!

Jej włosy wplątały się między żdźbła zwiędniętych traw. Miszel wskoczył do rowu.

– Przestań! – Zajrzał dziewczynie w twarz. – Po co to zrobiłaś?!

– Co? – zapytała rozbawiona i znowu parsknęła śmiechem.

– Nic! – wrzasnął wściekły. – To nie żart!

– To żart!

– Głupi! – Nachylił się nad nią i krzyknął jej do ucha.

– Najgłupszy, jaki znam!

– Uaaa! Upiorak! Upiorak! Uaaa! – Zuza wyciągnęła rękę w kierunku Miszela. – Zabije mnie! Aaa!

Wyprostował się. Widać było złość na jego twarzy.

– Bawi cię to? – zapytał dziewczynę. – Myślisz, że tak możesz?

– Zuza, przestań. Wstawaj.

Do rowu wskoczył Czacha i wyciągnął rękę, by podnieść Zużę. Ale ona leżała wciąż i patrzyła na Miszela.

– To jest przeszłość. Dawna legenda. Stare dzieje – odpowiedziała nagle poważnym tonem. – Bajki, którymi straszą niegrzeczne dzieci. I zalęknione dziewczyny. Głupie przestrogi. Siedź w domu. W kącie. Bądź cicho. Bądź grzeczna. Nie rzucaj się w oczy. Nie prowokuj. Udawaj, że ciebie nie ma.

– Masz rację, Zuza. – Czacha nachylił się nad nią. – To stare dzieje.

Stęknął i podciągnął ją do góry. Potem strzepał resztki trawy z jej włosów.

– Ale i tak napędziłaś nam stracha – dorzucił. – Łobuzie jeden.

– Sobie też – dodała Zuza.

– O, i zobacz, kurwa. – Czacha wskazał na coś palcem.

– Skręta zmarnowałaś. A wieczór mógł być taki miły.

– Wypadł mi – stwierdziła dziewczyna. – Dobrze, że to końcówka.

– Pójdziemy po następnego – zakomenderował Kondziu.

– Miszel, idziesz z nami? – zapytał Czacha. – Teraz twoja kolej. Stawiasz.

– Może innym razem. – Miszel pokręcił głową.

– Nie przejmuj się. – Troska w głosie kolegi była szczerą.

– Odczep się. Innym razem, powiedziałem.

– Ok. Kurwa. Ok.

I nie klnij.

Czacha wsiadł na swój motocykl, ale nie zapalił silnika, tylko odpychał się nogami. Z boku przyłączyli się do niego chłopak i dziewczyna.

Miszel nie patrzył, jak odchodzili drogą, ledwo oświetloną bladymi latarniami. Ich ciemne sylwetki migwały w wieczornym mroku. Głosy powoli milkły.

Wszedł schodami na peron. Minął rozkład jazdy, wiatę i dotarł na sam koniec, tam gdzie kończy się rampa. Dalej już była jedynie ciemna otchłań, której dna nie można było dostrzec. Bezkresny zgubny ocean, który pochłania wszystko, cokolwiek w niego wpadło. Niewidzialne ramiona wyciągały ku niemu swe dłonie. Chciały dotknąć światła. Prawie dotknęły jego, ale zatrzymały się.

Nie patrzył długo. Może niczego nie zauważył. Głębia oceanu była pusta. Nic się z niej nie wynurzyło.

Wrócił wzdłuż peronu i opuścił dworzec. Zszedł ze sceny, w pełnych światłach i przy niemej widowni.

II

Zatrzasnęła za sobą furtkę. Trochę za głośno zabrzączał metalowy zamek. Ale kiedy rozejrzała się, nikogo nie było w pobliżu. Nie zwróciła na siebie niczyjej uwagi.

Dom milcząco odprowadzał ją wzrokiem. Sąsiednie domy też skuliły się za swoimi płotami i murami bujnych tuj, które łapały się za ręce, by strzec swego grodu. W oddali umknął samochód, ale wokół panowała przedpołudniowa cisza.

Na stole zostawiła kartkę: *Poszłam pobiegać. Muszę. Wrócę za godzinę. Wera.* Zresztą i tak wróci, zanim on przyjedzie. Wychodził teraz z pracy coraz później. Być może będzie dopiero wieczorem.

Niepotrzebnie tę kartkę zostawiła. Trudno.

Naciągnęła czapkę głębiej na czoło i zasunęła suwak dresu. Z kieszeni zwisały kabelki słuchawek, ale nie włożyła ich do uszu. Czuła się w nich odcięta od świata, jakby weszła do szklanego kosza, a to nie dodawało jej odwagi. Wolała być świadoma tego, co dzieje się dookoła niej.

Choć wokół nie działo się nic. Jedynie przy kolejnej bramie rozszczękał się pies. Przeszła szybkim krokiem obok kilku rozległych domów z wypielęgowanymi ogródkami i

skręciła w boczną alejkę. Im dalej w głąb, tym działki były mniejsze, a domki starsze.

W końcu uliczka zmieniała się w prawie połą drogę zastawioną z obu stron małymi, letniskowymi domkami, altankami, wiatkami, a nawet drewnianymi szopami, które przycupnęły w ogródkach, ukryły się wśród zarośli, schowały w gęstym winobluszczu albo rozrośniętych krzaczorach, wśród świerków, modrzewi, przy nieużywanych studniach. Smutne, zszarzałe, osamotnione. Rabaty przekwitły, zasępione krasnale znieruchomiały, huśtawki pobladły. Porozrzucane zabawki w połowie zatopiły się w błocie. Oni wyjechali, zostawili je. Założyli kłódki, zasunęli żaluzje. Zabili dechami okna.

Wera mijała szybkim krokiem drewniane chałupki, hacjendy i siedliska, jednoizbowe chatynki. Nie patrzyła w oczy rozpadającym się szopom, które ziajały pustką, wiały jesiennym chłodem. Włożyła jedną słuchawkę do ucha i zaczęła biec. Ścieżka przed nią wznosiła się lekko ku górze, zmierzała w stronę ciemnego punktu na jej krańcu i kobieta wstępowała teraz w tunel drzew i krzewów, które nachylały się nad nią.

Wiatr wdarł się już w nozdrza i zatoki Wery, szczypał ją w policzki. Jeszcze musiała złapać rytm, pamiętać o ruchu ramion, wyrównać oddech. Nikt nie słyszy jej lekkiego, miarowego sapania.

Zbliżała się do końca uliczki. Wejście w gęsty las było coraz bliżej, ale drzwi pozostały wciąż zamknięte. Gałęzie

krzaków niechętnie odkrywały króliczą norę. Ale ona nie zwracała na to uwagi.

Las przywitał ją ciszą, wstrzymanym oddechem. Przyglądał się z oddali nowemu gościowi. Swoją to czy obcy? Lepiej zachować dystans. Podglądać zza pnia, krzaka. Okiem, co sęk udaje albo dziuplę. Albo przekrój odciętej gałęzi. Śledzić każdy jej ruch. I tak nie widzi. Nie dostrzeże niczego więcej oprócz drzew, których grube pnie tonęły w rudoczerwonym kobiercu, a gałęzie, już prawie opustoszałe, splatały się ze sobą w gęstej sieci. W tę pajęczynę można się wplątać, zamotać i zaginać.

Rozejrzała się, którą wybrać ścieżkę, ale żadna jej nie zapraszała. Wszystkie zdawały się kończyć po paru metrach. Wybrała w końcu środkową. Tam najdalej mogła sięgnąć wzrokiem. Pobiegnie przed siebie. *Nie szukać zawitych dróg. Jedyne proste rozwiązania, proste myśli, oszczędne uczucia.* Wmawiała sobie.

Im głębiej wbiegała w las, tym bardziej powietrze kołatało w jej głowie, gwizdało w zatokach. Chłód szczypał, aż łzawa mgła pokryła jej oczy.

Biec. By hulający wiatr wywiewał wdzierające się myśli. By świst oddechu zagłuszał słowa, co gładzą i mądrują się nad uchem. By sceny, które pojawiają się przed załzawionymi oczami, majaczyły jedynie jak fatamorgana, złudzenie, i szybko znikwały zdmuchnięte ze ścieżki, z wystającej gałęzi, z powalonego pnia. By wdychane powietrze

mogło oczyścić od toksyn nawracających wspomnień i ostudziło emocje.

Nie miała już siły. Ale biegła dalej i zmuszała słabe, zmęczone nogi, by biegły i biegły. Nie chciała myśleć o niczym, tylko przeć naprzód, w las. Zatracić się w swoim wysiłku, w swoim wyczerpaniu. *Ruszaj dalej, nie mazgaj się, nie narzekaj. Trzeba było...*

Zamknęła oczy, zaciśnęła szczęki i pięści. Biegła teraz na oślep. Czuła jedynie gryzący chłód powietrza w zatokach i ból omdlałych mięśni. I ostrza paznokci wbijające się w dłonie. Mocniej i mocniej. W końcu przestała odczuwać cokolwiek. Ciemno przed oczami. O to chodziło.

Omdlała stopa nie zauważyła wystającego konaru i uderzyła w niego. Wera wiedziała jedynie, że osuwa się w dół i nie może zahamować. Zatrzymała się dopiero na omszałym dnie zbocza. Obok, w krzakach leżał ptak z bezładnie odrzuconymi skrzydłami. Blade słoneczne światło odbiło się w jego martwym oku. Błysnęło jak w kropli rosy. Odwróciła głowę od tego zużytego ciała, zostawionego naturze, bez życia, bez duszy, bez cierpienia.

Wstawaj, nie użalaj się nad sobą.

Wstała, ale nie ruszyła dalej. Oparła się o pień buku, które podstawiło dla niej swe ramiona. Już dosyć. Na dzisiaj starczy. Odpocznij. Kręciło się jej w głowie. Łzy leciały do oczu. Nogi drżały. *To nic nie zmieni. Nic nie pomoże. Nie myśl, że to takie proste.*

Zadarła głowę, by sięgnąć wzrokiem do jasnych promieni i uchwycić odrobinę ich ciepła.

Las nad nią mruczał. Szumiały szczyty konarów drzew na powierzchni kopuły. A wewnątrz wszystko znieruchomiało. Zamarło, zamilkło. Odsunęło się od niej i pochowało w gęstym poszyciu. Przykucnęło w rozkopanych przez dziki norach. Po czym znienacka wylazło spod ziemi i po cichu skradało się. Stanęło tuż za nią. Zmrużyło oczy.

– Uważaj... W tym lesie... – Usłyszała szept w uchu, w głowie.

Ktoś za nią stał. Czaił się za jej plecami.

Odwróciła się szybko w tę stronę i usłyszała jedynie własny zduszony krzyk. Krok od niej ciemna postać także spłoszyła się, cofnęła wyciągniętą ku niej rękę i w jednej chwili zniknęła za drzewem. W kropli słońca zabłyśły złote guziki pod ciemną kurtką z kapturem. Cień przemknął i wielkimi susami pobiegł w głąb lasu. Przez chwilę w oddali majaczyły jeszcze jasne lampasy na jego spodniach. W końcu rozplynął się w powietrzu. Kto to był i czego od niej chciał? Może to powidok pojawił się pod zmęczonymi powiekami i po chwili się ulotnił. Przywidzenie zmęczonego umysłu. Jego szept i wysoka sylwetka była jednak zbyt realna. Kurtkę czuć było męskim potem. Jeszcze pozostał w głowie głos. „Uważaj...”

Krew uderzyła jej do głowy i pulsowała w skroniach. Wróciły siły i ostry wzrok. Rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie było ciemnej sylwetki. Nie podążyła, by sprawdzić, kim

był. Była zbyt zaskoczona i wystraszona. Las nie pomógł jej. Wyczekiwał. Zastanawiał się, co teraz zrobi. Poczuła jego chłód.

Ktoś jeszcze nie spuszczał z niej wzroku. Małe czujne oczka przytrzymywały ją na miejscu. Pozornie obojętne i nienachalne. Na powalonym pniu siedziała mała sowa. Mały, szary kamyczek z bystrym spojrzeniem i domalowanymi piórkami. Może spadła z gniazda. Zakłęta w kamień. Przycupnęła na pniu i ciekawsko zerkała. Nie dała się spłoszyć. Kamienna sowa.

Wera nachyliła się nad nią, ale bała się, że kamień odleci. Zostawiła sówkę w spokoju.

Nie pamiętała, z której strony przybiegła. Ścieżka już dawno zniknęła przykryta złośliwymi chaszciami. Wera odgarniała szarpiące ją gałęzie krzaków i szybkim krokiem opuszczała to obce miejsce.

Kiedy między pniami drzew zamajaczyły jakieś zabudowania, ruszyła w tamtą stronę. Po chwili mała uliczka rozwinęła przed nią swój dywanik. Mogła wąskim tunelem ruszyć w stronę domu.

III

Na samym końcu uliczki wyrastał piętrowy dom. Jego brama była otworzona, a na froncie umieszczono duży szyld – „Sklep spożywczo-przemysłowy. U Michasi”.

Odkąd parę dni temu przeprowadzili się do Szumilasek, nie zrobiła tu jeszcze ani razu zakupów. Przywieźli trochę zapasów z miasta, resztę Kamil kupował po drodze z pracy. Teraz też miał wstąpić do marketu, choć tego nie cierpiał. Narzekał, że według niej zawsze robi to źle. Ona uważała, że kupował tylko to, co sam lubił. O niej zapominał. Albo nie wiedział, co lubi.

Obok drzwi, do których prowadziły trzy schodki, stała plastikowa ławeczka z połamanym oparciem. Ławeczka musi być. Obowiązkowo.

Przy regałach z piwem młoda dziewczyna odwrócona do niej plecami układała butelki na półce. Miała szczupłe nogi w dżinsach i białe sneakersy, chociaż polar założony na włochaty golf pogrubiał jej sylwetkę.

– Czy ma pani izotonik bezcukrowy? – Wera nie spojrzała na nią, tylko rozejrzała się po półkach.

– Izotonik bezcukrowy? – Dziewczyna dopiero teraz odwróciła się do klienta. – Nnnie... Chyba nie.

– Nie ma – powtórzyła Wera. – A mleko migdałowe?
Albo chociaż sojowe?

Dziewczyna wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Sojowe? – Być może chciała się upewnić. – Nie. U nas nie ma takich rzeczy. Mleko jest... krowie.

– Szkoda. Jestem uczulona na krowie mleko.

Dziewczyna pokiwała głową. Mały koczek zatrzęsł się na jej głowie.

– U nas, wie pani, wszystko tylko takie normalne. Ale mamy za to batoniki zbożowe.

– O, ale bezcukrowe? – Wera udała zainteresowanie.

– A to nie wiem, ale sprawdzę.

Dziewczyna odeszła w bok, a z zaplecza wyszła kobieta koło pięćdziesiątki.

– Czegoś potrzeba? – Zwróciła się w stronę klientki.

– Tego, co pani szuka, u nas nie ma. – Dziewczyna odezwała się pierwsza. – Może w markecie. Na końcu wsi. Tak trochę w polu. Tam mają dużo rzeczy.

– W markecie, w markecie. – Kobieta zawołała z pretensją w stronę dziewczyny, która czytała napisy na batonikach. – A co ty, Zuza, konkurencję reklamujesz? Nie mamy, ale możemy zamówić. Dla pani. Chyba, że pani wyjeżdża już od nas, na zimę, jak te bociany.

Kiwnęła głową w stronę domków letniskowych i zaśmiała się ze swojego żartu.

Wera też uśmiechnęła się do niej.

– Nie odjeżdżam. Dopiero przyjechałam. Kilka dni temu.

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona:

– Tak na zimę?

– Na zimę. Tak wyszło.

Zerknęła na dziewczynę, czy sprawdziła już zbożowe batoniki.

– Na urlop? – dopytywała właścicielka sklepu. – Ludzie z miasta przyjeżdżają tu na urlop.

– Na urlop? Nie. Ja na... na dłużej.

– Aaa, rozumiem.

Pani Michalina oparła się o ladę. Miała zamiar kontynuować wywiad.

– To znaczy przeprowadziła się pani do nas?

Wera przytaknęła.

– No to ja mogę zamówić, co pani chce. A pani sobie odbierze – zaproponowała.

– Dziękuję.

– No to deal.

Kobieta kiwnęła głową i wyszła na zaplecze.

– Pani przeniosła się na wieś?

Za ladą stanęła znowu Zuza. Trzymała batoniki w garści.

Wera kiwnęła głową.

– Z miasta?

– Z samego centrum.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Czy to takie dziwne? Czy nikt się tu nie przeprowadza? – zapytała Wera.

– Przeprowadza – potwierdziła dziewczyna. – Ale ja... nie rozumiem tego.

– Niemądra jestem?

– Nie rozumiem tego – powtórzyła Zuza. – Gdybym mogła, wyjechałabym stąd. Tu nic nie ma. Nic.

– Jest cisza i spokój. Wszystko płynie wolniej. Ja tego potrzebuję.

– No, chyba że tak. Cisza, spokój, nuda i beznadzieja.

– Aż tak? – zapytała Wera.

– Stąd trzeba uciec.

– To dlaczego nie uciekasz?

Dziewczyna nie odpowiadała przez chwilę.

– To chce pani te batoniki? – zapytała w końcu.

– A są bezcukrowe?

Zuza zaprzeczyła.

– To dwa poproszę. – Wera podjęła szybka decyzję. – Owoce leśne i może... marakuja.

– Ok.

Wera już miała odejść od lady, kiedy usłyszała za sobą hałas. Ktoś trzasnął drzwiami, ale nie zbliżył się od razu do lady. Ciemna postać tkwiła przy wyjściu.

– Daj mi setkę, mała – zabuczał męski głos.

– Obsługuję klientkę. – Zuza nie spojrzała w jego stronę. – Proszę poczekać w kolejce.

Cmoknął z niezadowolenia. Zapach potu roznosił się po całym sklepie.

– Daj – syknął trochę ciszej. – Proszę.

Wera odwróciła się w jego stronę. Wbiął wzrok w twarz sprzedawczyni, wrogi i poządlivy jednocześnie.

– Słyszysz... – Ponaglił ją szeptem.

Wera słyszała, jak Zuza przełyka głośno ślinę. Wciąż nie obdarzyła klienta spojrzeniem.

– Proszę, panie Kozuń. – Położyła na ladzie buteleczkę.

Mężczyzna podszedł i położył banknot. Wera mogła teraz zerknąć na niego. Ciemna kurtka rozdarta była w jednym miejscu. Na głowie miał spęczkowaną, włóczkową czapkę.

– Kończysz niedługo, mała? – zapytał.

Przytrzymał się przez chwilę lady, by złapać równowagę, i wciąż pożerał Zuzę wzrokiem. Na Werę nie spojrzał.

– Niedługo? – powtórzył pytanie.

Dziewczyna czekała, aż odejdzie.

– Długo – odpowiedziała, by się odczepił i dał jej spokój. – Jeszcze długo.

Patrzył wciąż na nią, kiedy odwróciła się do niego plecami. W końcu wziął butelkę i wyszedł ze sklepu bez pożegnania.

Zuza wyraźnie odetchnęła z ulgą.

– Także różnych mamy klientów – skomentowała.

– Zauważyłam.

– Boję się go.

Zuza uśmiechnęła się krzywo.

– Pani biega? – spojrzała na strój klientki.

– Biegam – Wera kiwnęła lekko głową.

– Codziennie?

– Nie, kiedy mam ochotę – odpowiedziała.

– Ile kilometrów? – dopytywała się dziewczyna.

– Cztery, czasem pięć. Nie liczę. Nie biegam, by pokonywać kilometry.

– Pięć kilometrów to ja mam do domu – stwierdziła Zuza. – Ale jeszcze nigdy nie przeszłam tam na nogach. Chyba, że musiałabym schudnąć.

– Ja nie muszę schudnąć.

– To po co pani biega?

Zuza oparła łokcie o blat gotowa na wyjaśnienia kobiety.

– Ja wiem?

Sama wielokrotnie zadawała sobie to pytanie, ale co powiedzieć obcej dziewczynie?

– Biegam, bo to oczyszcza moją głowę. Oczyszcza myśli.

– Ma pani brudne myśli? – Zuza wydawała się zadowolona ze swojego sprytnego pytania.

– Powiedzmy, że zanieczyszczone.

– Zanieczyszczone?

– Tym, czego nie potrzebuję. I nie chcę.

Zuza patrzyła na Werę. Nie wiadomo, czy była usatysfakcjonowana taką odpowiedzią.

Z zaplecza wyszła właścicielka i trąciła lekko dziewczynę.

– Zuzka, ty nie bądź niemiła dla klientki. Nie męcz. Lepiej zapisz, co dla pani sprowadzić. Ile i na kiedy.

– Okej, okej – fuknęła dziewczyna.

– Bo zaraz przyjedzie piękny i łysy, i nie zdążysz tego zrobić. – Michalina uśmiechnęła się kątem ust i mrugnęła okiem do Wery. – Czekaj na kolegę. Zaraz ma odwieźć ją do domu.

Wera pozbierała swoje batoniki z lady i odwróciła się do wyjścia.

Kierowała się już w stronę ulicy, kiedy przed sklepem zatrzymał się motocykl i zszedł z niego młody chłopak ogolony na łyso.

– O, przyjechał. – Sklepowa szepnęła jej do ucha. – Narzeczony. Pani spojrz.

– Mówiła pani, że to tylko kolega – skomentowała Wera.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Wygolony, skóra – dodała. – Myśli, że taki światowy. Że to wystarczy.

– To tylko wygląd – szepnęła Wera, ale Michalina chyba nie usłyszała.

Chłopak kiwnął głową z daleka, ale nie podszedł do nich. Oparł się o motocykl i czekał. Sklepowa zniknęła we wnętrzu. Po chwili w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Zuza.

– Nie mogę cię dzisiaj zawieźć do domu – zaczął chłopak. – Muszę wracać szybko do roboty. Podwiozę cię jedynie pod las, na przystanek.

– Mam wrócić sama przez las? – Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie. – Jest już półmrok.

– Nie sama. Tu jeżdżą autobusy. Albo złapiesz stopa. Przepraszam, ale tak wypadło. To tylko dzisiaj. Przywieźli materiały do rozładowania. Szef zadzwonił.

Szybko zapalił silnik, by nie patrzeć na niezadowoloną minę dziewczyny.

– Wsiadaj – krzyknął nie odwracając do niej głowy. – Postaram się odwieźć cię jak najdalej.

Zuza zerknęła w bok.

Parę metrów dalej stał odwrócony do niej bokiem mężczyzna w podartej kurtce i opierał się o ogrodzenie sklepu. Wełniana czapka zsunęła mu się na czoło. Głowę miał spuszczoną w dół i Wera miała wrażenie, że ma zamknięte powieki. Czekał albo odpoczywał. Albo oddawał się innej kontemplacji.

– Odwieź mnie. – Zuza szepnęła do chłopaka tak cicho, że Wera ledwo usłyszała. – Jak najdalej stąd.

Silnik ryknął na całą okolicę. Czacha zawrócił motocykl i pognął do przodu. Wera poczekała, aż opadnie kurz na jezdni, by ruszyć w swoją stronę.

Mężczyzna w podartej kurtce oderwał się od ogrodzenia. Schylił się i powoli podniósł leżący na ziemi rower, który był równie niestabilny jak jego właściciel.

Kiedy próbował przełożyć nogę nad ramą, rower przechylał się razem z nim.

– Kurwa mać! – syknął do siebie. – Pieprzony!

Ale rower nie słuchał jego zaklęć i znowu się przechylił.

Do ogrodzenia podbiegł w tym momencie zwabiony krzykami duży i kudłaty pies. Skoczył na metalowy płot i zaczął ujadać. Przez szpary dosięgnął ramienia mężczyzny.

– Kurwa! – facet wrzasnął, tym razem głośniej. – Spier..!

Ale pies nie posłuchał, szarpał kłami siatkę ogrodzenia tuż przy jego głowie.

– Zabilę cię! – Kozuń wyciągnął do tyłu nogę i zdołał uderzyć psa prosto w głowę. Ledwo utrzymał równowagę.

Pies zaskamlał, ale po chwili znowu ruszył do ataku.

– Ty! – Kozuń zamachnął się w jego stronę i jeszcze raz kopnął.

Po drugiej stronie ulicy pojawiła się kobieta.

– Niech się pan nie wyżywa na psie! – krzyknęła.

Miała około czterdziestki i zmierzała właśnie do sklepu „U Michasi”.

Mężczyzna powolnym, dystygowanym ruchem podniósł głowę, ale nie zdołał jej odwrócić na tyle daleko, by na nią spojrzeć.

– Pani zaszary interes? – zapytał.

– Mój – odpowiedziała. – Niech pan zostawi psa w spokoju.

– Bo co?

– Bo to pies.

– No właśnie – zgodził się.

– Żywe stworzenie – wyjaśniła dokładniej.

– A jakby rozszarpał mi nogę, też byłby żywym stworzeniem? – Mężczyzna brnął w dyskusję.

– Byłby – odpowiedziała hardo.

– Pilnuj swojego nosa – burknął do siebie.

– Widziała pani? – kobieta zwróciła się do Wery. – Sadysta.

Nie czekała na reakcję, tylko minęła ją i weszła do sklepu.

– Sadysta – przytaknęła jej Wera.

Mężczyźnie udało się w końcu wsiąść na rower. Odzyskał siły. Wera patrzyła, jak energicznymi ruchami pedałów rozpędził się i zniknął w uliczce prowadzącej do lasu.

Intensywna ultramaryna nieba zaczęła powoli czarnieć. Czubki wysokich drzew wystawały ponad dachy wsi

jak nieme potwory, jak wielkie skały nad doliną. Nieliczne lampy i nieśmiałe światła domów mrugały, a małe świetliki ciemnych oczek kryły się w krzakach.

Błady nów księżyca zjawił się niespodziewanie. Schował się trochę z boku. Miał wrażenie, że przyszedł za szybko, dlatego błyszczał nieśmiało. Przecież to jeszcze dzień, a on wyrwał się tak przedwcześnie.

IV

Przemyka, cicho i dyskretnie. Niepostrzeżenie. Chowa się za pniami drzew. Wchodzi między gęste zarośla. Jego ciemna plama wtapia się w tło. Robi się mętna i niewyraźna, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Jak cień. Dopiero teraz czuje się bezpiecznie. Ufa, że las jest jego schronieniem, przyjmuje go pod swoje rozłożyste skrzydła i ugina się pod jego stopami. Uchyła ramiona, by go nie potrącić, nie zaczepić. Cień też nie chce go niepotrzebnie drażnić. Uduje, że jest bezkształtny, eteryczny. Że jest niewidzialny. Chciałby przestać być cieniem, a stać się duchem. Nieuchwytnym, podążającym w mroku.

W środku lasu widzi światło, jaskrawą poświatę, jakby tam, w sercu, było tajemne źródło i mieniło się blaskiem wydobytych z podziemnej głębi. Albo kwiat paproci zakwitł właśnie i pulsuje swoim księżycowym halo. Promieniuje czarem. Magnetyzuje.

On nie zbliża się do tej jasności. Okrąża ją z daleka. Boi się, że w jej kręgu przestanie być cieniem. Straci swoją mętność. Swoją amorficzność. Ulegnie jej czarowi, sile rażenia. Ta siła sięga daleko w głąb lasu. Jest szybsza niż światło czy dźwięk. Niż myśl. Cień nie podejrzewa, że już sunie ku niemu po leśnym runie. Błyszczące łuski wiją się pod

spróchniałymi korzeniami, pod powierzchnią wilgotnych korytarzy mchu. Zbliżają się ku niemu. Dośćgną go.

Kamil odruchowo skręcał lekko w prawo, kiedy światła samochodów jadących naprzeciwko raziły go. Musiał mrużyć oczy i mocniej trzymać kierownicę, by nie zjechać na pobocze. Miał nieodparte wrażenie, że wszystkie samochody tutaj jeździły środkiem jezdni. Jakby chciały go zepchnąć do rowu, tam gdzie jego miejsce. Jeszcze nie przyzwyczał się do jazdy w kompletnych ciemnościach poza miastem, gdzie lampy uliczne nie zawitały, a z okolicznych łąk i lasów mogły znenacka wyjść na szosę zwierzęta. Na przykład małe jeżyki i płochy sarny. Starał się rozszerzyć swój kąt widzenia.

Zanim przedarł się w biurze przez gąszcz ludzi żądających czegoś od niego, rzucających mu przeszkody pod nogi, wieszających się na jego ramionach, szarpiących za koszulę, i wydostał się z korków w centrum miasta, upłynęło sporo czasu. Zbyt dużo. Za to teraz mógł uznać podróż powrotną do domu za zasłużony odpoczynek. Powieki przymykały mu się lekko i kąt widzenia zawężał.

Czuł, że wraca do domu jakąś okrężną drogą, objazdem. Jakby jechał w nową podróż, a nie jedynie do nowego domu. Po tygodniu od przeprowadzki ta droga była

wciąż nowa. Nieutarta, przynajmniej nie przez niego. Trochę nieoswojona. Jeszcze nie nauczył się wszystkich zakrętów.

Zdecydowali o wyjeździe z miasta, bo w ich starym życiu dobrnęli do jakiegoś punktu zagmatwania. Kręcili się bez sensu w zamkniętym kręgu, płataninie, z której nie wiedzieli jak się wydostać. Ta zmiana miała im zorganizować życie na nowo, by stare spadło w dół studni. By mogli nie wracać do niego myślami i spojrzeć na siebie świeżym okiem. Miał nadzieję, że ta zmiana doda im energii i zmieni punkt widzenia. Ale obawiał się, że jedynie sobie to wmawia. Podświadomie w to nie wierzył, ale przekonywał siebie i Weronikę, która odwracała jedynie głowę i nic nie mówiła.

Zamykała oczy, zamykała siebie.

Wjechał w las. Droga tunelem wciniała się między drzewa. Tam zamierzała zniknąć, ale nie zniknęła. Kamil miał wrażenie, że drzewa zatrzymują za nim wrota i zaraz znajdzie się sam w potrzasku, we wnętrzu dżungli. Spojrzał w tylne lustro, ale w ciemności niczego nie mógł dostrzec. Wrócił wzrokiem na jezdnię w tym samym momencie, kiedy przed nim na drodze pojawił się ciemny kształt. Jakby wyszedł nagle z lasu na ścieżkę. Kamil zdążył skrócić w bok. Na szczęście nie jechał zbyt szybko.

Zatrzymał samochód z boku drogi, ale z niego nie wysiadał. Światła pozycyjne ledwo oświetlały otoczenie, ale ciemny kształt stał wciąż w tym samym miejscu. Czarny samochód. Kamil widział go w bocznym lusterku.

Nie dostrzegł nikogo w pobliżu. Wnętrze samochodu było puste, ale boczne drzwi były otwarte, a klapa bagażnika uchylona. W środku nie było niczego oprócz kilku mokrych plam świecących w mroku. Gdzieś musi być kierowca albo pasażerowie.

Wszedł między drzewa. Las wstrzymał oddech i przyglądał się mu z dystansu. W ciszy, Kamil słyszał jedynie suche liście trzeszczące pod jego butami. Skierował światło komórki i uważnie wlepił wzrok w gąszcz. Nie dostrzegł właścicieli samochodu. Wśród opadłych liści nie widział żadnych śladów, choć wydawało mu się, że w głębi, między drzewami, tli się jakieś nikłe światło, błada poświata.

Stał przez chwilę bez ruchu, jakby na coś czekał. W końcu odwrócił się i podszedł do drzewa. Chociaż się wysika, bo uciekł z biura, zanim zdążył to zrobić.

Ale las, nagle ośmielony dźwiękiem oddawanego moczu, przebudził się i męczyzna usłyszał jakieś szmery z jego głębi. Szelest liści i igliwia. Ktoś jednak tam był i przemykał między drzewami.

– Jest tam ktoś? – Kamil szybko zapinał rozporek.

Odgłosy ustały na pewien czas.

– Jest tam ktoś? Coś się stało?! – krzyknął znowu, tym razem głośniejsze.

Hałas, który robiły odgarniane gałęzie i szeleszczące pod nogami liście, dodawał mu odwagi. Szedł ku kępie

krzaków, które kuliły się do siebie. Oświecił je światłem latarki i zawołał jeszcze raz.

– Halo!

Pomiędzy krzakami wyrosła nagle postać. Kucała do tej pory, ale widocznie już dłużej nie zamierzała się ukrywać i wstała.

– Co pan tu robi w ciemności? – zapytał mężczyznę, który stał w zaroślach i trzymał w ręku foliowy worek. – Wyrzuca pan śmieci w środku lasu?

Kamil oświecił ten worek, a mężczyzna spojrzał, jakby zdziwił się, że wciąż ma go w ręku.

– Słucham! – Kamil zdziwił się, jak stanowczo zażądał od niego odpowiedzi.

– Nie wyrzucam śmieci.

– Nie? To co pan robi po ciemku w lesie?

Mężczyzna w krzakach nie odezwał się. Prawą dłoń trzymał lekko podniesioną. Kamil dostrzegł, że była brudna od ziemi i krwi.

– Coś się panu stało, skaleczył się pan?

– Najwyraźniej. – Mężczyzna odpowiedział skąpo.

– Czemu ukrywa się pan tu w lesie?

– Nie ukrywam się. Szedłem po ciemku i upadłem na rękę. Skaleczyłem się. I chyba zwichnąłem nadgarstek.

Kamil oświecił jego dłoń. Z palca zwisała brudna higieniczna chusteczka.

– Ale co panu przyszło do głowy, by chodzić po ciemku po lesie? – dopytywał się.

– Wie pan. – Mężczyzna przełknął ślinę. – Zakopywałem zmarłe zwierzę.

Kamil uniósł brwi.

– Zmarłe zwierzę?

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Ulubione zwierzątko moich dzieci. Spadło z dachu. I się zabiło.

– Zabiło się?

– Na miejscu. To był wypadek.

Mężczyzna wskazał na worek, który już teraz był pusty. Już nie było w nim zmarłego zwierzątka.

– Musiałem jak najszybciej je zabrać z domu, by go nie widziały. Zapłakałyby się.

Zmiał worek w kulkę i włożył do kieszeni.

– I tak będą płakać, ale przynajmniej nie widziały go martwego. Myszoscoczka.

– Myszoscoczka?

– Małe rude gówno.

– Rude gówno?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Takie życie małego zwierzaczka.

Kamil pokiwał głową. Też zrobiło mu się żal małego, rudego gówna, co spadło z dachu.

– Zostawił pan samochód prawie na środku drogi. – Wskazał kciukiem w tamtym kierunku.

– Na środku? – zdziwił się. – Nie.

Pokręcił głową. Podniósł z ziemi niedużą szuflę.

– No może nie na samym środku, ale drzwi i bagażnik były otworzone.

– Wydaje mi się, że zamykałem. Ale wie pan, byłem mocno zaaferowany.

– Ja ich nie otwierałem. Trochę mnie to zaskoczyło i dlatego poszedłem w las. Szukać kierowcy.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił w stronę Kamila.

– Jest pan odważnym człowiekiem. – Spojrzał mu w oczy, choć w ciemności nie widział ich dokładnie.

– No nie wiem – skomentował niepewnie Kamil.

Ruszył za mężczyzną, który odszedł daleko do przodu.

– Pan jest stąd? – Dogonił go już przy drodze.

– Stąd – przytaknął mężczyzna. – A pan skąd?

– Też stąd.

– Tak? – zdziwił się mężczyzna. – Nie znam pana, a znam tu wszystkich.

– Mieszkamy tutaj od niedawna – wyjaśnił Kamil. – Od tygodnia. Z żoną.

– Przeprowadziliście się? Dokąd?

– Wybudowaliśmy dom na ulicy Aniołkowej.

– Aaa, to wiem gdzie. Znam to miejsce. Zastanawiałem się, kto tam mieszka.

– Bielawski. – Kamil wyciągnął rękę.

– Mirosław Piwoński. Miło mi.

Wyciągnął rękę, ale szybko schował, była brudna i zakrwawiona. Kamil też cofnął swoją.

– W takim razie do zobaczenia i dziękuję za troskę.

Piwoński wszedł do samochodu. Po chwili jednak otworzył okno i krzyknął do Kamila.

– Mam jeszcze do pana prośbę.

– Tak?

– Nie dam rady przekręcić kluczyka. Pomoże mi pan?

– Nie ma sprawy. Może podwieźć pana?

– Nie, już jakoś dojadę.

Kamil nachylił się nad kierownicą i przekręcił kluczyk, a silnik czarnego opla odpalił. Piwoński machnął mu zdrową ręką na pożegnanie i odjechał.

Kamil stał przez chwilę i czekał, aż zapalą się światła samochodu. Rozbłysły dopiero po chwili, po paru metrach, i pojechały dalej w leśny tunel.

Kamil ruszył. Wkrótce za drzewami wyłoniły się nieśmiałe Szumilaski.

V

Dom był pusty. Ściany pachniały świeżą farbą i wyglądały na lekko wilgotne. Jeszcze cofały się z rezerwą. Echo jej kroków odbijało się od nich, kiedy bose nogi przyklejały się do podłogi. Mogła chodzić po nich bezkarnie, biegać i nawet tupać. Ale tego nie robiła. Szanowała ciszę tego miejsca, jakby wchodziła do milczącej, opuszczonej świątyni. Muszą dbać nawzajem o swój spokój.

Nie zapaliła lampy, tylko stanęła w ciemności w pokoju na piętrze. Patrzyła przez okna, które odkrywały widok dookoła domu, choć w wieczornym mroku niewiele można było dostrzec. Uliczka była oświetlona jedną latarnią, która stała nieopodal przy drodze i trochę rozjaśniała okolicę. Jej światło ledwo docierało do ich bramy, ale podjazd i podwórko pozostawały w mroku.

Dookoła, między drzewami poustawiane były domy. Niektóre ciemne, pozamykane i opuszczone przed zimą. W innych światła okien świadczyły, że dom ten żyje cały rok, a jego mieszkańcy nie zapadają w zimowy sen. Zamykają się jedynie w swoich zamczyskach, by przetrwać zimą.

Z piętra dobrze widziała okolicę. Widok zasłaniały jej jedynie stare, strzeliste drzewa, które obejmowały swoimi skrzydłami przykucnięte domy i domki, otoczone trawnikami i uschniętymi ogródkami. Niektórych z nich strzegły żywopłoty

z tuj. Zostawione w kątach działki rowery jeszcze miały nadzieję, że wyruszą w świat, zanim zardzewieją od jesiennych deszczy.

Na tyłach domu, choć trochę z boku, za płotem z wybujałych świerków, kryła się rozłożysta willa. Jej główną część stanowił zabytkowy dom, obity drewnianymi panelami, z rzeźbioną balustradą i okiennicami. Tył domu od strony podwórka rozbudowano w nowoczesnym stylu, dodano duże szklane tafle, szary beton i minimalistyczne kształty. Modern. Ze swojego stanowiska przy oknie Wera widziała wnętrze ogromnego salonu z dużą kanapą i kominkiem. Zapalone lampki led dyskretnie oświetlały niektóre punkty we wnętrzu i w ogrodzie. Na poddaszu powiększono okna dachowe sypialni i zainstalowano rolety. Wera wiele mogła dostrzec ze swojego miejsca.

W salonie na kanapie leżała dwójka dzieci i patrzyła w ekran wielkiego telewizora. Nie mogła rozpoznać ich płci. Oboje mieli długie blond włosy. Jedno trzymało nogi wysoko na oparciu, a głowę odchyliło w tył, by z ukosa oglądać telewizję. Drugie siedziało w kucki, a brodę oparło na ramionach na stoliku postawionym koło kanapy. Nie odwróciły głowy, kiedy przez pokój przeszła kobieta z blond włosami obciętymi do ramion. Ubrana była w kusą koszulkę ledwo zakrywającą biodra. Zabrała ze stołu szklankę i zniknęła za schodami.

Brama domu otworzyła się, jak zaczarowana zaklęciem, i na podjazd wjechał samochód. Jego światła były już zgaszone. Wjechał za dom i zniknął jej z oczu. Wera czekała, ale nikt nie pojawił się na podjeździe. Niewidzialne siły posłusznie zamknęły bramę.

Błysnęła komórka w jej kieszeni: *Zaraz będę*. To „zaraz” może być za pół godziny lub za całą godzinę. Raczej nie więcej. Inaczej napisałby „Spóźnię się” albo nie napisałby wcale.

Sądziła, że może bezkarnie podglądać rodzinny obrazek u sąsiadów, ale światło komórki ją zdradziło. Kiedy zerknęła znowu na salon, jedno z dzieci odchyliło głowę do tyłu i właśnie na nią uparcie patrzyło. Bezwstydy podglądacz został zdemaskowany. Wera powoli wycofała się w głąb pokoju, ale dziecko cały czas śledziło jej umykający cień. W końcu odwróciło głowę i z powrotem wlepiło wzrok w ekran.

Z ulicy dobiegł jakiś hałas. Wyjrzała przez okno gabinetu. Tak nazwała pokój, gdzie postawiła jedynie stół i laptop na środku. Tylko stamtąd widziała wejście do domu.

Przy furtce, w bladym świetle lampy solarnej, którą Kamil pozostawił w pobliżu, stała osoba w kaszkiecie nasuniętym na głowę. Wera nie widziała jej twarzy. Postać rozglądała się niepewnie wokół, aż w końcu wychyliła się w stronę drogi. Tam właśnie zaświeciły światła nadjeżdżającego samochodu. Kiedy samochód podjechał, osoba zasłoniła ręką twarz, bo światła raziły ją w oczy.

Kamil wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. Przez moment stali i rozmawiali ze sobą. Postać w kaszkiecie energicznie wymachiwała rękami, zbyt energicznie jak na starszą osobę, na którą wyglądała. Kamil słuchał oparty o metalowy płot. Przy zamkniętych oknach Wera nie dosłyszała, o czym rozmawiają. Zresztą postać zaraz pożegnała się i odeszła.

– Wracasz coraz później. – Przywitała męża w kuchni.

Nie zdjął kurtki, tylko podszedł od razu do kranu i nalał sobie wodę do szklanki.

– Niespodziewana sytuacja – rzucił jej i zaczął pić wodę.

Wera odczekała, aż wypije całą szklankę. Dopiero teraz zapytała:

– Niespodziewana?

Pokiwał jedynie głową i wrócił się, by zdjąć kurtkę.

– Dużo masz niespodziewanych sytuacji – zawołała tak, by usłyszał w przedpokoju.

– Nie wiem, czy dużo... – Wrócił już do niej. – Po prostu czasem się pojawiają. Niespodziewanie. Nie czekam na nie. Nie szukam ich.

– One szukają ciebie? – zapytała zaczepnie.

Kamil oparł się o blat stołu w kuchni.

– Kto mnie szuka? – spytał zniecierpliwiony. – Kto mnie znowu szuka?

Wiedziała, że zaczął się powoli irtować tą rozmową, ale chciała ją jeszcze przeciągnąć.

– Ten, kto chce coś znaleźć – powiedziała cicho.

– A według ciebie chcę coś znaleźć?

Wera wzruszyła ramionami. Zamierzała pozostawić go bez odpowiedzi.

– Chyba za mało jesteś dzisiaj zmęczona – odezwał się po chwili.

– Wręcz przeciwnie.

– Za bardzo się nudziłaś. Przeprowadziliśmy się tutaj, żebyś przestała myśleć o tym, co było. Żebyś przestała siebie zadręczać. Siebie i mnie, przy okazji.

Westchnęła głośno.

– Wracałem późno – zaczął Kamil. – Prawie wpadłem po ciemku na jakiś samochód zaparkowany przy drodze. Poznałem w lesie dziwnego człowieka, który ukrywał się tam z łopata.

– Spotkałeś w lesie człowieka z łopata?

– I jestem głodny – podsumował, ale ona już tego nie skomentowała.

Mężczyzna odwrócił się od niej i oparł dłońmi o blat kuchni. Wera stanęła za jego plecami.

– Nie nudziłam się – powiedziała.

– To dobrze.

– Ja też miałam dzisiaj niespodziewaną sytuację.

– Tak? – Zainteresował się. – Tutaj?

– Tutaj.

– Poznałaś kogoś?

– Spotkałam – poprawiła. – Niespodziewanie.

Odwrócił się do niej i dotknął jej ręki. Na krótko. Zaraz w jego kieszeni zadzwoniła komórka. Wera dostrzegła nieznany numer.

– Słucham?

Słuchał, a jego brwi powoli się unosiły. Na koniec uśmiechnął się lekko.

– Szybko pan działa. – Kamil nie był wylewny, słuchał przez pewien czas swojego rozmówcy. – Skąd pan ma mój numer? Z tablicy informacyjnej. Od pół roku jej nie ma. No tak, w takim miejscu nie da się wiele ukryć... Robi pan zdjęcia wszystkim tablicom informacyjnym? Nie, żartuję, przecież mógł pan...

Wera obserwowała jego twarz. Brwi opadały, by po chwili znowu podnieść się w zaskoczeniu.

– Nie ma problemu. Miło mi, że mogłem pomóc, choć na niewiele się przydałem.

Rozmówca był bardzo gadatliwy, bo przez dłuższy czas Kamil milczał i słuchał. Potakiwał co chwilę, ale to widziała jedynie Wera.

– O, jest pan naszym sąsiadem? – zawołał w końcu zaskoczony.

Spojrzał na żonę.

– Bardzo chętnie – odpowiedział. – Nie znamy tu jeszcze nikogo. Z przyjemnością poznamy... Bardzo mi miło za zaproszenie. Bardzo nam miło. Tak, myślę, że piątek to dobry termin. W tygodniu pracujemy.

Kamil znowu spojrzał na wpatrzoną w niego kobietę.

– Żurawiny, numer sześć. Myślę, że znajdziemy... Duża willa z rzeźbionym gankiem. Jakbyśmy się zgubili, to mam przecież numer telefonu.

Kamil zaśmiał się nerwowo do słuchawki.

– Przekażę żonie zaproszenie. W takim razie, do zobaczenia.

Odłożył na stół telefon.

– Mamy zaproszenie na kolację. – Uśmiechnął się do Wery.

– Od dziwnego człowieka z łopatą? – zapytała.

– Od niego samego.

– Chce nas przywitać? Przyjąć w lokalnej społeczności?

– Może?

Kamil skrzywił się raczej bez wiary w te słowa.

– Może wyniuchać, kim jesteśmy?

– Aż tak? – Wera знаła jego dystans wobec ludzi. – A co on właściwie robił w tym lesie? Z łopatą?

Nalał wody do czajnika. Nie spieszył się. Zanim odpowiedział, nacisnął czerwony włącznik z jego boku.

– Zakopywał – powiedział w końcu.

- Co zakopywał?
- Nie wiem, nie widziałem.
- Ale coś zakopywał? – dopytywała.
- Raczej tak.

Właściwie nie widział, by Piwoński coś zakopywał.

Mężczyzna przebywał po ciemku w lesie. Z łopata.

– Śmieci?

– Może śmieci. Powiedział, że zakopał zmarłe zwierzątko.

Uniosła brwi.

– Aha.

Ale Kamil zamierzał zmienić temat.

– A ty powiesz mi, kogo poznałaś? – zapytał.

Za oknem zaczął szczekać pies. Oboje odwrócili się w tamtą stronę. Ale po chwili szczekanie ustało.

– Nie mogłam się na niczym skupić i... poszłam pobiegać.

– Pierwszy raz od...

– Pierwszy raz – przerwała mu. – Biegałam wzdłuż uliczek. W stronę lasu. W pewnej chwili obok mnie pojawił się człowiek. Wyrósł za moimi plecami. Po czym zapadł się pod ziemię.

– Mężczyzna?

Wera przytaknęła.

– Na jednej z uliczek?

– Nie, w lesie.

– Biegałaś sama po lesie? – Kamil zdenerwował się.

– Po prostu tam się znalazłam. Nawet nie wiem kiedy – tłumaczyła.

– I nawet nie wiesz, kiedy stanęłaś twarzą w twarz z jakimś facetem.

– Nie do końca.

– To znaczy? – dopytywał mężczyzna.

– Nie widziałam dokładnie jego twarzy. Miał nasuniętą na głowę czapkę albo raczej kaptur. Twarz miał taką niewyraźną, rozmazaną. Byłam już zmęczona. Bardzo.

– Coś ci zrobił? Coś powiedział?

Pokiwała głową.

– Coś szepnął. Ale nie słyszałam dokładnie.

– Nie słyszałaś?

Kamil zmarszczył czoło. Szklanki z herbatą stały obok i wciąż nie zalewał ich wodą. Czekał na ciąg dalszy.

– Byłam już zmęczona. – Broniła się. – Wystraszyłam się, a on pobiegł szybko w głąb lasu i po chwili zniknął mi zupełnie z oczu.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i zalał w końcu herbatę.

– Nie biegaj sama po lesie – powiedział jedynie.

– Ok.

Wera wzięła za ucho swój kubek i weszła na schody.

– Ale to miło, że nas zaprosili. – Zatrzymała się. – W końcu kogoś poznamy.

– Tak. Mieszkają w pobliżu, gdzieś na sąsiedniej uliczce.

Kiedy stanęła na szczycie schodów usłyszała, że wchodzi za nią po schodach. Nie zapaliła światła, tylko po ciemku podeszła do okna.

– Myślisz, że to dobrze, że się tu przeprowadziliśmy?
– zapytała. – To dobre miejsce?

Stanął za nią przy oknie.

– Na pewno inne – odpowiedział. – Spokojniejsze dla nas. Chciałaś tego.

– Chciałam uciec. Od tych spojrzeń dookoła, współczujących i oskarżających. Nachalnych i umykających, kiedy podnosiłam głowę.

Kamil milczał.

– Zobacz, wszędzie ciemno. – Patrzyła wciąż w mrok za oknem.

Ogarnął wzrokiem okolicę widoczną z okna na piętrze. Oświetloną jedynie przez blade światła lamp.

– Ciemno, wszyscy śpią.

– Śpią – przytaknęła. – A może tu nikogo nie ma? Może nikt tu nie mieszka? Może tu wszystko wymarło?

– Zapadli w zimowy sen.

– O, tam ktoś jeszcze czuwa.

Z daleka dobiegł warkot przejeżdżającego pociągu. Musiał być długi, bo turkotał i turkotał. Niewidzialny pociąg mknął w dal. Zabrał tych, co odjeżdżali. Szukali wciąż innego

miejsca. Wera jeszcze długo miała wrażenie, że wciąż kołysał się na szynach. Ten stukot szumiał jej w uszach. Może to szumiał las dookoła.

– Chodź spać. – Kamil pociągnął ją za rękę.

– Jeszcze chwila.

Nie mogła oderwać wzroku od ciemności, która dygotała w rytm pociągu.